Grażynie

Grażynie

Pamiętać o papierosach. Żeby zawsze były pod ręką,
gotowe do wsunięcia w kieszeń, gdy znowu go zabierają.

Znać na pamięć przepisy dotyczące paczek i widzeń.
Sztukę zmuszania mięśni twarzy do uśmiechu.

Jednym chłodnym spojrzeniem gasić wrzask policjanta,
zaparzać spokojnie herbatę, gdy oni bebeszą szuflady.

Z obozu albo szpitala słać listy, że wszystko w porządku.

Tyle umiejętności, taka perfekcja. Mówię poważnie.
Chociażby po to, aby się nie zmarnowały,
nagrodą za to wszystko powinna być nieśmiertelność,
a już co najmniej jej wybrakowana wersja, życie.

Śmierć. Nie, to niepoważne, nie przyjmuję tego do wiadomości.
Z iloma trudniejszymi sprawami dawałaś sobie radę.
Jeżeli kogoś podziwiałem, to właśnie ciebie.
Jeśli co było trwałe, to właśnie ten podziw.
Ile razy chciałem ci powiedzieć. Nie było jak.
Wstydziłem się luk w słownictwie i mikrofonu w ścianie.
Teraz słyszę, że za późno. Nie, nie wierzę.

To przecież tylko nicość. Jakże takie nic
ma stanąć pomiędzy nami. Na złość, na zawsze zapiszę
tę kreskę na tęczówce, zmarszczkę w kącie ust.
Zgoda, wiem, nie odpowiesz na moją ostatnią pocztówkę.

Ale będę za to winić coś rzeczywistego,
listonosza, katastrofę lotniczą, cenzurę,
nie nieistnienie, które, zgódź się, nie istnieje.

XI–XII 1982

wiersz z tomu *Atlantyda*

cyt. za: Stanisław Barańczak, *Wiersze zebrane*, Wydawnictwo a5, Kraków 2006, s. 286-287